

## PAMIĘTNIKI, WSPOMNIENIA

Kazimiera Hejnowicz-Kosińska

### WYSIEDLENIE<sup>1</sup>

6 grudnia 1939 roku, o godzinie ósmej rano, na narożnikach ulic naszego miasta ogłaszano przez tubę, że do godziny dziesiątej nie wolno nikomu wychodzić z domu, a okna wychodzące na ulicę mają być zasłonięte. Nie wolno było przez nie wyglądać pod karą więzienia. Myślałam, że może jakichś jeńców będą prowadzić i ukradkiem da się zobaczyć, co też dzieje się na ulicy. Z tym patrzaniem jednakże sprawa nie wyglądała tak prosto, gdyż gęsto, nawet co parędziesiąt kroków, poustawiali się jacyś mundurowi, pewnie policja, bo w czarnych hełmach, i bacznie obserwowali wszystkie drzwi i okna, oczu z nich dosłownie nie spuszczał. Nad Gostyniem jakby jakaś chmura wisiała. Ot, takie pierwsze zimowe dni.

Mróz tego dnia trochę zelżał, ale nieprzyjemnie było. Trudno odgadnąć w jaki sposób, podobno były tam jakieś straszliwe krzyki, ale fakt, iż mimo zakazu przebiegła do nas przez ulicę pani Wytykowska, stara szewcowa, mieszkająca vis-a-vis. Rozdygotana i zapłakana, bo przecież z narażeniem życia przyszła powiadomić mamusię, by się spakowała, gdyż będą nas dzisiaj wywłaszczać i wywozić. Pani Wytykowska płakała bardzo, prosiła i przysięgała, iż kazała jej to powiedzieć sąsiadka, Niemka, stara Gabrielka, że dziś wywożą z miasta, i że my jesteśmy też na liście.

---

<sup>1</sup> Tekst jest fragmentem obszernych wspomnień Kazimiery Hejnowicz-Kosińskiej, córki Mieczysława, przygotowywanych do wydania książkowego.

Mamusia nasza jednakże słucać o tym nie chciała i oznajmiła jej, że z własnego domu na poniewierkę z dziećmi nigdzie nie pójdzie, pakować się nie ma zamiaru i prosiła to powtórzyć starej Gabrielce.

– Ja stąd nigdzie się nie ruszę. Żywej mnie stąd nie wyprowadzą. A siłą mnie przecież chyba nie wyniosą na oczach dzieci. Bezprawia starczy! – oświadczyła nasza matka.

– Wszystką inteligencję dziś wywiozą, proszę pani! Wszystką! I panią to czeka, pani Hejnowicz kochana! Pani będzie musiała! – błagała staruszka i z płaczem pobiegła do domu.

Matka nasza twierdziła jednak swoje. Potem, przez szczyrby w okiennych żaluzjach, widziałam, jak prowadzą znajome rodziny. Jedną, drugą, trzecią, a ci policjanci w hełmach i cywile z opaskami i hakenkreuzami idą przy nich. Narobiliśmy krzyku i powiedzieliśmy o tym mamusi, lecz nie było w stanie zachwiać jej postanowienia, że ze swego domu się nie ruszy i, tak jak przedtem, zabroniła nam pakowania się. Wczoraj późnym wieczorem przyszedł, zresztą jak codziennie, wujek Szymek z tą samą straszną wiadomością i tak bardzo prosił, żeby mamusia się na „to” przygotowała, że my mamy być wywłaszczeni. Kłócili się nawet z mamą trochę. I podobno też mówił, że mamy być gdzieś wywiezieni. Wujek Szymek twierdził, że to nie plotka, więc mimo zakazu wieczornego chodzenia przyszedł, by wieści te nam przekazać. Matka nasza w ogóle o tym słucać nie chciała. Zresztą i nie było co pakować, bo walizki czy jakieś kosze od września były pełne i w piwnicy schowane. Przy tych wszystkich nieszczęściach nikt o nich nie myślał. Od śmierci ojca zrobiono wielkie pranie i wszystko wisiało na strychu. Jedną tylko w domu mieliśmy walizkę. I to bardzo ciężką. Widziałam, jak Hala kładła do niej, po kryjomu przed mamusią, torebkę z mąką i kaszką manną, trochę cukru, pieluski i kaftaniczki Januszką, i jego poduszeczkę na wierzch. Miał przecież dopiero roczek. Złapałam ją na tym pakowaniu, ale prosiła, żebym jej nie zdradziła.

– Tak na wszelki wypadek, wiesz – mówiła.

Więc ja też, po kryjomu, szybkoitko nałożyłam w łazience ciepłą halkę wełnianą, choć nigdy jej nie nosiłam.

Zaciemnione okna w pokojach od ulicy pogrzyły mieszkanie w mroku, więc wszyscy przebywaliśmy w pokoju sypialnym, w pokoiku dzieci i w małym stołowym przy kuchni. Ja jednak czatowałam przy szczelinach w żaluzjach w stołowym dużym, czy rzeczywiście nie idą czasem do nas. Piątkowscy idą, spostrzegłam. Pod eskortą prowadzono całą rodzinę mojej koleżanki. Szli, tacy jacyś biedni, przerażeni i smutni. Irka i Basia uczipione matki. Nieśli jakieś paki, pakunki, walizki. Grześ niósł na ramieniu zrolowaną kołdrę. Dokąd idą? Przerażona tym, co widziałam, pobiegłam z tą wieścią do mamusi, jednak ona niezachwianie mówiła swoje, że nas to nie dotyczy, bo my z domu nigdzie nie pójdziemy i nie mamy się co pakować. Hala

w dużym pokoju stołowym coś tam dokładała jeszcze do tej walizeczki i chowała ją na kanapie, obkładając poduszkami, palcem nakazując mi milczenie. Ogarniał nas coraz większy niepokój. Pomyślałam o tych wspaniałych kompotach w kredensie i zakradłam się do niego. Te czereśnie, gruszki, wiśnie, śliwki, agrest. Hala je zaprawiała. Nie zdążyło się jeszcze ich znieść do piwnicy. Ach, jaka szkoda byłaby, gdyby przepadły. O! Jest blok czekoladowy, który również nęcił. Odłożony był na gwiazdkę do obłania pierników. Postanowiłam sobie zabrać mniejszy odłamany kawałek i schowałam go w złotku do kieszeni pałta. Nagle weszła Hala, pytając, co tam wyjadam. Odpowiedziałam, że szkoda mi tych wszystkich kompotów, że wydaje mi się, że powinniśmy chociaż dwa zjeść.

Krzyk niesłychany doszedł do nas. Hala wybiegła i ja też rzuciłam się jak rażona. A otwarłszy drzwi do sypialni rodziców, zobaczyłam stojącego do mnie tyłem żołdaka w mundurze z karabinem na plecach. Czego to chce? Ta kreatura o nieproporcjonalnych kształtach, ten rozkraczony, krótkonogi, zielony stwór o szerokich barach i hełmie na łbie.

– Te! Nastąp się! Precz mi z drogi – powiedziałam, pchnąwszy go łokciem i dołączyłam do wszystkich, którzy pobledli. Stali grupą w stołowym, tym małym pokoju przy kuchni.

Inny żołdak spoglądał na swój zegarek i mówił:

– Also, in 10 Minuten sind Sie fertig, Frau! Wir warten nicht eine Minute länger! So! – Rozumiałam, co mówił. Sama nie wiem czemu.

– Ja tutaj pozostanę. Powiedziałam panu – nasza matka wydawała się spokojna, głowę miała jak zwykle uniesioną. I tłumaczyła mu po niemiecku to samo, a z tonu wiedzieliśmy, co mówi. Nie wyjdzie nigdzie stąd i nam, dzieciom, nie pozwala się pakować.

– Wont! Raus! Los! Schneller! Aber schon sofort raus! – na to zarzycał Niemiec z bronią przy pasie; ten sam, który kazał nam opuścić nasz dom. A my... Staliśmy nieruchomi, patrząc na naszą matkę. Ona głową oponowała, że wyjść nie ma zamiaru. A błada była bardzo. I ponownie mu to powtarzała.

Niemcy zaczęli się wściekać, wyć na nas i wykrzykiwać na cały dom. Zwłaszcza ten jeden, najwyższy, powtarzał swoje:

– Ich sage: in 10 Minuten!

– Aber los! Raus! Schneller! Weiter! – poganiali ci drudzy.

My staliśmy nieruchomo, patrząc na naszą matkę. Ona, przystojna i piękna jak zawsze, powtarzała swoje to, co przedtem. W mieszkaniu było trzech wojskowych z karabinami i jeszcze dwóch cywilów. A jeden z nich chował się w korytarzu. To był Klimpel! Nasz trojhender (Treuhand – *niem.* zarządca nieruchomości). Więc mamusia do niego teraz zwróciła się z najwyższym wyrzutem:

– Pewnie, że ojca nam zabili, że młyn nam zabrali.

I pytała, czy mu jeszcze mało.

Niemrawo coś tam odpowiadała i nie wchodził do pokoju. Wstydził się pewnie ukazać w świetle dziennym. Ale gadał coś tam...

– Co on gada, mamusiu? – pytał Stefan.

Wtedy ten nowy właściciel naszego młyna, Klimpel, powiedział nam po polsku, że zostało nam jeszcze parę minut do wyjścia z domu i że szybko mamy jeszcze coś na siebie nałożyć. Na to mamusia odpowiedziała mu, że nigdzie się z domu nie ruszy. I że chyba jej nie wyniosą. Na to on powiedział:

– Zobaczmy! Wir sehen! Ordnung muss sein!

Jeden z tych żołdaków plecami się odwrócił do pokoju i patrzył sobie na podwórze przez okno, a ten drugi, stojący w kuchni i pilnujący drzwi, które prowadziły na dwór, też stał jakiś niemy, osowiały. Tylko ten jeden tak się dał rozwścieczony potwornie i skrzeczał bezustannie, i ryczał na dzieci, że wszystkie przestraszone zaczęły płakać. A ten cywil powtarzał:

– Niech no się pani pośpieszy, bo my mamy sposoby na takich!

A mamusia mu odpowiadała:

– Tu jest mój dom i nikt nie ma prawa mnie z niego wyrzucać. Męża żeście mi zabili i jeszcze wam nie dość?! Jeszcze mało?! – i tłumaczyła to samo temu w hełmie, po niemiecku.

Andrzej, nasz siedmioletni braciszek, nierozłączny ze swym szkolnym tornistrem na plecach, podszedł do mamusi i zapytał:

– Mamusiu, to ja jeszcze polecę i nakarmię króliczki i gołębice. Sypnę im tylko ziarno, bo jeszcze dzisiaj nie dostały, dobrze?

Mamusia skinęła mu głową i odparła:

– Idź, syneczku, idź. Tylko płaszcz i czapkę nałóż, bo mróz.

– I wezmę torbę, żeby oni mi nie skradli moich zeszytów i elementarza! – powiedział.

I ani się żołdak, przy drzwiach w kuchni stojący, nie spostrzegł, jak Andrzej pod ręką mu wybiegł z mieszkania. Szwab wrzeszczał, wołał za nim, ale myśmy mówili, że przecież on zaraz wróci. A mamusia wolno i wyraźnie skandowała:

– Ja wam ostatni raz mówię i oświadczam, że się stąd nigdzie nie ruszę, że nigdzie stąd z dziećmi nie pójdę! Więc dajcie mi święty spokój wreszcie i idźcie stąd!

Policjant zzieleniał, to znów spurpurowiał ze złości i wrzasnął, aż wszyscy podskoczyli:

– So? Ich sage euch: raus!

– Więc, zobaczmy – dopowiadał cywil.

– Frau! Frau! Doch packen Sie sich, bitte! – odzywali się dwaj strażnicy, ci trochę lepsi.

I chaos się zrobił niesamowity. Wszyscyśmy – właściwie płacząc – krzyczeli przerażeni, bo wydawało się, że ów ich herszt ma zamiar do nas strzelać, gdyż zaczął manipulować przy swojej broni.

– Czyżbyście sumienie zatracili do cna?! Czego wy chcecie od moich dzieci? Mam je na zatrąę wam dać? Gdzie i dokąd chcecie nas prowadzić? Bez grosza jestem! Wszystko zabraliście. Ja wam oświadczam ostatni raz, że stąd nie wyjdę! – i też po niemiecku im to mówiła.

Cywil się zaśmiał.

– Więę na oczach dzieci wyniesiemy panią! – zachichotał.

– Ja tu zostaję... Ich bleibe hier! Rozumiecie?! Tu jest mój dom! – Mamusia stawała się coraz zaciętsza.

„Chryste, ratuj!” – błagaliśmy w myślach swych Boga.

– Sooo?! Aber sofort raus! – zawył Szwab.

Potrącając dzieci, wyciągnął Bolecha, naszego najstarszego brata. I szarpał się z nim, ciągnąc go ku drzwiom. Dobiegł ten żołnierz spod okna i wołał do mamusi:

– Mało pani męża?! Chce pani jeszcze stracić syna?!

Dzieci krzyczały:

– On go dusi! On Bolecha dusi! Mamuś!

– Lassen Sie das Kind! – zawołała nasza matka strasznym, potężnym głosem – Zostaw to dziecko!

– Bitte! Bitte! – ryczał, szamocząc się z Bolechem Niemiec. – Wenn Sie den Mann zu wenig haben, wir können auch den ersten nehmen! Ja, bitte! Komm, komm, Kleiner, komm!

– Co?! Co?! – krzyczeliśmy.

– Łotrze! Zostaw tego chłopca! Lassen Sie das Kind! – nieludzko wprost krzyknęła mamusia i łapy Niemca zdarła z szyi brata naszego, i do siebie Bolecha zdołała przeciągnąć, i straszny się wtedy zrobił krzyk, bo wszyscyśmy zaczęli obsypywać ją najczulszymi prośbami, słowami, nazwami, pytaniami.

– Dzieci! Idziemy! – krzyknęła nasza matka tak głośno, że słyszało ją całe chyba miasto. Zasyczała do Niemca: – Wir gehen. Idziemy, dzieci.

– So?! Also Sie gehen. Na ja. Wir geben euch noch 5 Minuten Zeit.

Nasza mamusia wtedy ogromnie zaczęła płakać, przyzywając ojca.

– Mieczek – mówiła zboląa. – Zobacz, no, Mieczuch, co się tutaj dzieje i co ja mam począć, co robić? Dokąd ja mam z nimi iść? Dokąd? No powiedz mi, gdzie? – mówiła, tuląc nas.

– Kara boża was nie minie! Zobaczycie! – wciąż słyhać było Felę.

– Co mamy wziąć, mamusiu? – dopytywały dzieci, a ten żołdak, który do okna wciąż się odwracał, ręce przykładał do gęby i nawracał w kółko to samo.

– Kissen, Kissen. Warm, warm! – gadał coś tam.

– Chłopcy, najmocniejsze buty nałóżcie i ciepłe swetry, wszystko najcieplejsze – powiedziała mamusia, a Zocha wrzeszczała, powtarzając to raz jeszcze.

Zaczęła się niesamowita latanina, krzątania po mieszkaniu, bo już kazano nam wychodzić. Krzątać się nam było wolno tylko w tych pokojach przy kuchni, a do pozostałych już nie pozwolono nam wejść. Hala jednak wyklóciła się i wbiegła po ukrytą walizeczkę. Wołała:

– Mamusiu, mam dla Januszka!

– Dobrze, moje dziecko, dobrze... – mamusia jej odpowiadała. – W teczki szkolne włóżcie rzeczy, w teczki – mówiła.

Biegaliśmy w kółko, nie wiedząc co brać, co pakować. Stachu pakował swoje klocki, Mietek łyżwy, a Fela pytała:

– Koszulę nocną mam wziąć, mamusiu?

Matka nasza kiwała jej głową, mówiąc:

– Weź, dziecko.

I biegaliśmy przez te trzy pokoje w tę i z powrotem. A Fela nabrała nagle jakieś wariackiej odwagi i wprost wrzeszczała:

– Wszyscy nocne koszule wziąć! – darła się kilkakrotnie na cały dom.

– Kissen, Kissen! Decken! – podpowiadał nam ten żołdak trochę lepszy, a ręce złożone przykładł do policzków, ale nikt z nas nie rozumiał, o co mu chodzi, co on mówi.

– Los, los! – nawoływali oni wszyscy, a ten potwór najgorszy, jak rak czerwony, pienił się od złości.

– Kissen, mamusiu, co on gada? – pytałam.

– Poduszeczkę weź, poduszeczkę – odrzekła mi matka i powtarzała czule: – Moje dzieci, piskłeta nasze, czy możliwe... Moje dzieci! Mieczuch, zobacz no, co to teraz będzie? – powtarzała niezdolna do niczego.

Potem klęknęła i głowę oparła na stole, ale zaraz ją podniosła, wyrzekłszy:

– Dzieci! Zmówmy modlitwę. Klękniemy. – A gdy klękneliśmy, zaczęła: – Pod Twoją Obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko, n... n... naszymi prośbami... – ale mówić nie mogła, więc Zocha i Hala starały się prowadzić dalsze słowa, lecz przy dalszej modlitwie wielki ogarnął nas płacz...

Wtedy właśnie wpadła przez kuchnię Ula, nasza kuzynka, krzycząc:

– Macie dać Januszka! Babcia nie pozwala go zabrać! – i z rąk Hali wprost wydarła dziecko. – Ma zostać z nami aż wrócicie! – wołała Ula i nie pytając nikogo o pozwolenie, uciekła z rocznym naszym Januszkiem do drzwi kuchennych.

Hala zdążyła jeszcze podać jej walizeczkę. Tę z pieluszkami, z bielizną i kaszką manną, którą to w tajemnicy uszykowała. I Ula pchnąwszy silnie żandarma, uciekła z naszego domu. Wrzasnęła jeszcze w drzwiach:

– A o Andrzeja się nie martwicie! Nie puścimy go!

Żandarm w całym tym bałaganie w ogóle nie zorientował się, co to wszystko znaczy, bo i tak nie mógł się połapać wcale, ilu nas jest, a ja go też mocno szturchnęłam w drugi bok, wrzeszcząc:

– Gadaj, co mamy zabrać!

A Mietek:

– Dobrze, że cię zęby bołą.

Z ich strony słyhać było tylko: „Raus!” Zocha poirytowana wołała:

– Co najdroższe pakujcie do teczek! Co najwięcej lubicie, co najlepszego macie! Szybko!

Naturalnie ja myślałam co najdroższe sercu i zaczęłam pakować do teczki wielki mój karton z widokówkami. Ale wpadła Zocha, trzepnęła mnie przez ręce i karty rozrzuciły się wszystkie po calutkim pokoiku. Krzyczała:

– Wariatko! Nie zbieraj tego! Buty weź lepiej!

Włożyłam więc do teczki moje nowe czarne lakierki z kokardką i nocną koszulę, dwa albumy ze zdjęciami i pudełko z aktorkami filmowymi (tymi z czekolady jubileuszowej Wedla). Chciałam jeszcze wziąć pamiętnik, ale bałam się, że może nie wypada? I co by tu jeszcze wziąć? Bo każą już nam wychodzić. Może tę bluzkę haftowaną huculskim wzorem? Ale letnia jest, to przecież niepotrzebna. Miałam ochotę pozbierać me karty z podłogi, ale słyhać tylko: „Raus!”, co znaczy, iż natychmiast mamy wychodzić. Już. Ale mamusia się zatrzymuje, opiera, nie chce, nie może wyjść. Strasznie płaczemy.

– Schlüssel! Schlüssel!

Co to znaczyć może?

– Pelze, Pelze! – powtarza jeden z wartowników.

Któraś z dzieci pyta:

– Pylce to przecież grzyby, mamusiu? Co on mówi?

– Futra... Otwórzcie moją szafę, weźcie futra! Halinka, Hala. Weź i moją koronkę (czarną suknię). Miskę z kuchni, Kazia, poduszkę.

Zocha ściąga coś z wieszaków, Hala nakłada mamusi futro, ale mama mówi:

– Wezmę to palto tatusia.

Hala więc je wkłada na siebie. Zocha wkłada na siebie futro tatusia, a to drugie, stare, bierze na rękę. Bolech nakłada kozuch tatusia z młyna, a Stefan – drugi, ten stary. Poduszczkę z tapczanu wciskam do swojej teczki. Ściągam i zabieram z tapczanu koc, z wieszaka gruby zimowy szlafrok mamusi i przerzucam go przez ramię.

– My tu jeszcze wrócimy – się słyży.

– Wir kommen noch hier zurück! – nieprzytomnie woła nasza matka.

Potem cichutko pyta: – Maryleczka, wzięłaś, córuchno, swoją lalczkę?

Czteroletnia Marylka swoim kwilącym głosikiem odpowiada:

– Wzięłam, mamusiu.

Wśród wrzasku żandarmów i naszego płaczu, jak błędni kierujemy się ku drzwiom. Jeden ze strażników wciska poduszkę z dziecięcego łóżeczka w ręce Bolecha, kołdrę rzuca chłopakom na plecy. Schodzimy. Na parterze uchylają się drzwi i ukazują się w nich babcia, matka naszego ojca. Potworne pożegnanie dwóch najniešťeśliwszych. Potem idziemy pustym miastem. Mamusia ręce rozpostarła na ramionach Hali i Zochy, a z drugiej strony na Bolechu i Stefanie. Kulimy się do siebie, staramy się iść blisko, zbici w grupkę. By być blisko, razem. Ja tylko szłam za nimi, bo liczyłam wciąż ich, gdyż mi się mocno zdawało, że kogoś z nas brakuje. I nie mogłam się doliczyć. I nic więcej nie pamiętam z tej drogi przez miasto. Chyba jeszcze to, że Marylka tak wlokła po ziemi tę swoją krakowiankę za jedną rękę, trzymając ją. I potem to, gdy na skrzyżowaniu mamusia przystanęła i spytała ostro żandarmów:

– Chcę wiedzieć, dokąd nas prowadzicie!

Ale oni nie odpowiadając, wzruszyli ramionami.

– Ich frage, wohin wir gehen?! – zdecydowanie pytała i oświadczyła, że nie pójdzie dalej, jeśli nie powiedzą.

Wtedy w oknach domów ukazały się głowy. Jakaś pani wbiegła na balkon, lecz żandarmi chwycili za broń...

– Bo jeśli nas na rzeź prowadzicie, to zróbcie to tutaj! – powiedziała nasza matka.

– Los! – i oni jednak odpowiedzieli: – Zum Sammelpunkt im Garten. Geht ihr!

– Mówi, że prowadzą nas do jakiegoś ogrodu – objaśniła nam mamusia.

– Links! – wskazywał żandarm ulicę prowadzącą do Rynku.

Mamusia szeptała:

– A więc wygnanie?! Jesteśmy wygnani?!

Trudno więcej powiedzieć o tej naszej drodze przez miasto do owego punktu zbornego ludzi przeznaczonych do wywiezienia z miasta, ale dokąd, co, jak, gdzie, po co? – cisnęły się myśli, bo przecież nic nie wiemy. Straszny był moment, gdy ujrzelśmy Rynek. Miejsce stracenia! Od dnia egzekucji nikt z nas przecież tamtędy nie przechodził. Do kościoła chodziło się przez łąki, by „tamtego miejsca” nie oglądać. I teraz nagle wszyscy razem tu. Potem dalej szliśmy ulicą Tkacką, tą najstarszą w naszym mieście, prowadzeni przez tych żołdaków, jak błędni przez to nasze puste miasto, jakże słabi. Aż doszliśmy do „ogrodu zabaw”, bo tak właśnie zwał się ten ogród, gdzie gromadzono nas – wszystkich wywłaszczonych.

Pamiętam moment przyjścia tam, gdy zapłakani ludzie lament dosłownie podnieśli na nasz widok. A mamusia mojej koleżanki Irki wołała na cały ten plac:



– Ludzie kochani! Jeśli tu przyszła pani Hejnowiczowa ze swoimi dziećmi, ze swoją dziesiątką, to nam już rozpaczać nie wolno. A przecież i jej męża rozstrzelano.

Tylko że Irka, prawie szesnastoletnia, była u nich tam najmłodsza. A u nas? Za mną było jeszcze siedmioro młodszych. Nasza mamusia nie mogła ustać. Więc my na śniegu położyliśmy koc, na nim futro i tak siadła sobie na tym. Była jak nieżywa. Po pewnym czasie szum się jakiś dziwny zrobił. Wołano:

– Wieś! Wieś przywieźli!

I rzeczywiście. Przez ogród widać było długość ulicy Klasztornej, która będąc na wyższym poziomie, była dla nas jak na dłoni. Zajeżdżały tam jeden za drugim wielkie, głębokie wozy dworskie, tak zwane „hele”, na jakich woziło się zboże do młyna po żniwach. Z krzykiem, piskiem, nawet chyba ze śmiechem, wyskakiwali z nich ludzie – Biskupianie czarno odziani, którzy potem odbierali z tych wozów w swoje ramiona kobiety – matki, dzieci, panny, żony.

– Czyżby ich oszukano, nabrano? – pytała nasza mamusia, wzrokiem tam sięgając.

Niestety... tak. Nie chcę o tym słyszeć! Nie chcę tego widzieć! Szalały myśli. Ale mamusia trąciła mnie, wskazując:

– Spójrz na tych ludzi – szepnęła wolno. – Najbogatsi ze wsi i jak na procesję się wystroili.

Oczom naszym bowiem ukazał się orszak ludzi dorodnych, bogato, po zimowemu ubranych w swe ludowe szaty. My na ich widok, a oni na nasz – znieruchomieli.

Mamusia wyczerpana przeżyciami słabła, mdlała, wydawała się ledwie żywa. Odzywała się jednak. Oglądała wchodzących.

– Przelękli się – mówiła.

– Spójrzcie no! Ci w tych dzierzackich... Mój Boże, jak na największe święto! – ktoś wołał.

Rumiane przed chwilą, roześmiane kobiety, szły teraz przybladłe, z niepewnością i z niewyraźną miną. Te starsze, ubrane w czarne jak i spódnice, na których spod białych koronkowych fartuszków przebijały aksamitowe podbitki koloru róż albo zieleni czy niebieskie, żółte lub czerwone.

– Ale Biskupiany! – powiedział Stefan.

Szły w wysokich czepcach na głowach, to znaczy w chustach ogromnie wysoko upiętych, zawiązanych pod brodą. Śnieżnobiałe kryzowane pasy widniały nad czołami. Kryzy takie bielily się też pod ich szyjami, a na nich wisiały po dwa, trzy sznury czerwonych koralów. Butki miały czarne, wysokie, obcisłe, na obcasach, czerwoną tasiemką sznurowane.

– Co za strój! – zachwyciła się nimi, jak zwykle, mamusia. – Korale mają zawsze prawdziwe.

Mężowie tych kobiet, ojcowie, synowie też na czarno byli. Szli też w swych czarnych, świecących, prostych, wyglansowanych, jakby to oni powiedzieli, w cholywach, tylko kamizele spod kapot im wyglądały w biskupich kolorach. I kapelusiki płaskie, czarne, sztywne, aksamitne mieli.

Niektórzy ludzie mówią, że oni, to znaczy Niemcy, planowo chcą nas wyniszczyć. Nikt przecież tego nie powie naszej mamusi. Przede wszystkim takiej wieści by nie przyjęła. Straszny potem nastąpił moment, gdy przyjechała następna grupa wozów, a ludzie wołali: „Golę! Golę przywieźli!”. Do ogrodu weszła „golska pani”, to znaczy pani szambelanowa Potworowska z córką i synem, bo ci dwaj starsi – Gustaw i Franek, oficerami byli w wojsku, więc już pewnie w niewoli byli albo... A ich ojciec zginął razem z moim, naszym tatusiem. Tu. Na Rynku. No i potem... była grupa następna. Może to byli ci z Krobi, ze Smogorzewa, Dalabuszek czy ze Szczodrochowa albo z Domachowa? – zgadywali ludzie. W każdym razie przerażające było to, gdy weszli mężczyźni bez nakrycia głów i nieśli kogoś na rękach lub na noszach. To był... orszak pogrzebowy. Oprócz całej tragedii, która tych ludzi tego dnia spotkała, dołożyła się ta... najstraszniejsza. Jak się potem okazało, na liście wywłaszczanych znalazła się ta młoda rodząca kobieta, ale „Ordnung muss sein!” i nie było rady. Rozkazano jej wejść na wóz, a raczej wniesiono ją tam wśród bólów. I zanim dojechali tu, niewiasta ta już nie żyła. I nieśli ją właśnie w tym orszaku, w tym czarnym powolnym kondukcie.

Ruszyliśmy niebawem w stronę klasztoru, na Świętą Górę. W klasztorze tym mieliśmy przebywać w pomieszczeniach dla księży filipińców. Rodzina nasza zajęła jedną z klas czy sal dawnego konwiktu. W każdym razie tłok był w tym całym zakonnym budynku niesłychany. Wieś, ponieważ przyszła później i nie starczyło już miejsca w salach, usadowiła się na korytarzach. Siostry zakonne rozdawały nam zupę w garnuszkach, a wieczorem była kawa z mlekiem i chleb ze smalcem. Nie będę nawet mówić o tym, jakie było samopoczucie mamy. Sam jej widok, leżącej na słomie, bo słomę mieliśmy tam wszędzie rozłożoną na podłogach, był wystarczająco potworny. Czuliśmy się wszyscy chorzy ze zmartwienia i upodlenia nas ze strony Niemców. Naturalnie zaczęły się odwiedziny i sprawdzanie, kto jest wyrzucony, a kto nie, i bieganina po korytarzach z tym związana. Odporniejsi psychicznie ludzie starali się dodawać nam otuchy, ale nie dawało to specjalnie pocieszenia.

Mamusię ludzie ustawicznie chcieli pocieszać, więc prosiła nas, by nikogo więcej do niej nie wpuszczać. Zdawało mi się, że martwi się najwięcej tym, że nie ma wśród nas naszego Andrzeja, że on tam może szaleje i płacze za nami u babci. Bo jeśli o Januszkę chodzi, to byliśmy wszyscy szczęśliwi, że go nie ma w tych warunkach. Nagle usłyszałam i zobaczyłam, że o mamusię i o nas dopytuje się „golska pani”. A jaka to była „pani”! Gdy

była w mieście, to zawsze się z okna patrzyło, jak przejeżdżała, to taką karetą, a to taką powózką albo myśliwską kolaską.

– Tak, proszę pani, tu jesteśmy, ale... mamusia odpoczywa.

– Bardzo chciałabym widzieć się z nią, kto wie, czy potem będzie okazja... – powiedziała pani szambelanowa.

Padły sobie w objęcia, jakby się od lat znały. A znały się chyba tylko z widzenia. Może jeszcze z jakiegoś balu, festynu, no i z kościoła, bo siedziały naprzeciw siebie. Myślałam, czy jej powiedzieć, jak dobrze widziałam jej męża, gdy na rozstrzelanie szedł, ale mamusia poprosiła mnie, żebym pilnowała, by nikt nie wchodził przez chwilę, bo chcą zostać same. I tylko Hala, nieodstępująca mamusi ani na chwilę, tam z nimi została. Bo dzieciaki i reszta po klasztorze się gdzieś rozpiezchli. Podziwiałam, że można się tak nie załamać, jak pani Potworowska. Edek, jej syn, był w jednej klasie z Bolechem naszym. Słyszałam, jak mówiła, że dumna jest z ludzi naszych ze wsi, z tego, jaką mają postawę. Pani dziedziczka z Goli tuliła do siebie mamusię, obejmowała ją i ścisnęła mocno.

– Stefciu! – doszedł do nas karcący znajomy głos. To ciocia Zosia Henrykowa, znowu do nas szła. Pytała: – Można już do mamusi wejść?

– Nie! – odfuknął Stefan.

– Tam jest u mamusi jedna pani i nikt nie ma wchodzić, i przeszkadzać im.

– To teraz mamusia już ma dwóch strażników? – spytała ciocia.

– Nie. Jednego, bo ja sobie idę. Pilnuj, Stefan, za mnie, dobrze? – odpowiedziałam.

Chciałam wreszcie zwiedzić klasztor. Bardzo przykre to było zwiedzanie. Żałosne widoki i przykre odkrycia. Wujek Szymon przeniósł się właśnie wraz z całą rodziną i dobytkiem do „naszego pokoju”, a Henrykowie uważali, że potem „na miejscu” połączymy się, a na razie na noc zostaną tam, gdzie są. Mówili:

– No po co się prznosić, jeśli rano nas mają gdzieś dalej wywozić.

Miejsce, gdzie przebywaliśmy obecnie, potocznie wszyscy nazywaliśmy klasztorem, zaś ludzie starsi Świętą Górą. Klasztor nasz stoi na wyniosłej górze i zawsze był powodem do dumy okolicznych mieszkańców. Albowiem jest to przepiękna barokowa świątynia, przypominająca wenecki kościół Santa Maria della Salute, na nim to wzorowana, będąca jednym z najpiękniejszych okazów architektury barokowej w Polsce. Tu właśnie znaleźliśmy schronienie, czekając na wywózkę. To słowo właśnie słyszało się tutaj w związku sytuacją, a operowali nim przede wszystkim ludzie starzy i gospodarze wiejscy.

Tworzące kwadrat korytarze zakonu, służyły obecnie wysiedlanej młodzieży do urządzania tu znakomitej zabawy w chowanego. No bo wnek, zakamarków, korytarzy była tu moc. A i między ludźmi też świetnie można

było się schować. Młodzież gimnazjalna starała się „trzymać”, to znaczy nie okazywać wielkiego smutku czy załamania. Wielu kolegom, starszym zwłaszcza, świetnie się to udawało. Janusz, nasz kuzyn, twierdził wręcz, i rozpowiadał to wszystkim, że wywalili go wprawdzie wbrew jego woli, ale po mordzie jeszcze od niego dostaną i w ogóle gadał, że zabawa jest tu wręcz wyśmienita.

Nagle pojawił się kucyk, do niedawna nasz, nadjechał na klasztorne podwórko z pełną „rolką” bochenków chleba dla nas – wysiedlanych. Niejednych ucieszyła owa wiadomość, bo to był znak, że nie będziemy głodni, u innych jednakże spotęgowała smutek, gdyż równocześnie szła fama, że jest to chleb przeznaczony dla nas na drogę. Wieść ta byłaby więc dowodem zbliżającej się wywózki, czyli bezlitosnej prawdy.

Nadchodziła noc, a nas nikt o niczym nie informował. Noc na słomie... Może w warunkach działań frontowych uchodzą „takie rzeczy”, ale teraz, tu, cóż mogło znaczyć to wszystko? Przerażone myśli i słowa krążyły między nami od pierwszego września, podczas długich nieprzespanych nocy. Tymczasem ktoś powiedział, że wysiedlają całe województwo!

Rano nadal nie poinformowano nas o niczym, co dalej z nami będzie. Trwaliśmy w tej ciasnocie. Tymczasem dzieci bawiły się niezłe..., fikały kozły na posłaniach, zwłaszcza odpowiadało to małym synkom wujka Szymona i ciotki Józki: dwuletniemu Jureczkowi i trzyletniemu Władziowi.

Ludzie miejscy przeważnie byli w salach, a wiejscy na korytarzach, ponieważ ściągnięci tu byli później. Trudno powiedzieć, kto z nas więcej zabrał ze sobą z domów. Było mnóstwo ludzi takich, którzy nic nie mieli zupełnie, żadnego bagażu, tylko to, co na sobie. Bardzo się tym martwili. Widać było często, że mieli jednakże pierzyny i poduszki, spakowane w rulony albo w powłóczkach pozwijane, albo w te wielkie wełniane chusty zimowe kobiece z frędzlami. Wydawało mi się, że każda kobieta miała koszyk, taki wielki, w lewo i w prawo otwierany, który to dawniej brały ze sobą na targ z nabiąłem. Duże, pakowne były to kosze, większe i mniejsze, różne. Widziałam, że ser biały i jajka świeżutkie jedna tam miała. Te koszyki zresztą stanowiły, na dzień nieświęteczny, dodatek do stroju chyba, bo stare na przykład wiejskie kobiety, pamiętam, nigdy bez takiego koszyka nie chodziły. Tylko w niedziele, podążając do kościoła, zamiast niego miały w ręce wielką księgę do nabożeństwa.

Wśród kobiet płacz był większy niż wczoraj, kiedy to uświadomiły sobie, jak jest. Teraz rozpacz na dobre je ogarnęła, że zwierzęta tam w domu nienakarmione od wczoraj, że buczą, skomlą, wyją, gdaczą: w chlewach, oborach, kurnikach, stodółkach. Jęczały, narzekały, lamentowały. Mężczyźni uspokajali je, jak mogli, że przecież sąsiedzi po to są, że pomogą, że z pewnością pootwierali obory i nakarmili bydło oraz drób, że zaopiekują się ich obejściem, zagrodą, dobytkiem, domem. Trudno było tego wszystkiego słu-

chać. Często też stare kobiety modliły się na klęczkach lub ustami ruszając, paciorki różańca przesuwały. Męska brać przeważnie stała w grupkach i gadała zawzięcie. Zasadniczo wszyscy szykowali się do wyjścia.

Chodząc po tych korytarzach, trafiłam na tę grupę Biskupian, którzy to tak mnie zachwycili wczoraj. Wśród nich siedziały takie dwie lalki, bo msza święta miała być rano, więc je mama wyszykowała. Czekwały gotowe – w tych toczkach śnieżnobiałych na głowach i przez głowy, i buzie jeszcze szeroką białą wstążką miały przewiazaną, w kokardę związaną pod brodą. Pod szyją białe kryzki najpiękniej haftowane, a na nich korale czerwone spoczywały. Gorsciki, jedna bładoniebieski, a druga żółty miała, śnieżnobiałe rękawy i fartuszek. Stałam urzeczona. Ale one nadąsane czegoś siedziały. A gdy ta „żółta” poszła do swej mamy, bo ją wołała, ta „niebieska” burknęła do mnie:

– Co się panna gapi? Pójdzie do swoich!

Na to matka jej skrzyczała ją, że jest nieznośna, a ja jej mówiłam, że jestem zachwycona ubiorem i dlatego tak patrzę. Zmiękła trochę na to owa panna w niebieskim staniku i zaczęłyśmy się do siebie uśmiechać. Dowiedziałam się, że ma 18 lat, ale jeszcze bardzo byłam ciekawa jej imienia. Kazała mi je zgadywać, na to matka jej się odezwała:

– Nu, czemu to Katarzynka nie powiesz pannie, że ci Kasia...Kasiyńka na imię?

– Ha! Ha! Ha! – wybuchłam, nie wiem czemu, śmiechem.

I tak żeśmy się z Kasieńką zaprzyjaźniły i siedziałam u nich z pół dnia. Opowiadały mi „jak było gdy”... A ta druga dziewczyna była Zośka. Straszna miałam ochotę ubrać się w ten ich strój. I już byłyśmy skłonne zrobić tę niespodziankę mamusi, już zaczęłam się przebierać, gdy nagle usłyszałam głos Janusza:

– Aaa, tu cię mamy, to takie się laufry urzędza, to tak się matkę niepokoi? Chodzisz gdzieś, a przecież wszyscy mają siedzieć na swoich miejscach, bo będzie spis...

– Co? Jaki spis? Czego?

– No spisywać nas będą, czy im się kto nie wywinął i mamy podobno...

– Jezu! A co z Andrzejem?

– Andrzejek? Jest!

– Co ty gadasz, jak to jest?

– Właśnie było wielkie powitanie! Wyobraź sobie, uciekł ciociom, babciom i samotnie wybrał się w drogę do klasztoru, bo przecież ludzie wiedzą, że my tu jeszcze jesteśmy.

– No i co?

– Po drodze zabrał się ponoć z chlebem, który tu na Świętą Górę wiozł właśnie wasz kucyk, bo podobno nikogo innego tu nie dopuszczają

wcale. Ludziom nie wolno tu podchodzić. No i przez jakąś dziurę w płocie tu przelazł, przez ogród filipiński.

Wolałam jednak być na korytarzach niż „u siebie”. Znosić natrętne przychodzenie wszystkich krewnych i znajomych, słuchać ich pocieszeń, patrzeć, jak mamusia to kładzie się, to blednie lub czy ciotka Józefowa mdleje i lamentuje. Wujek Szymon, naturalnie lekarstwa jakieś miał, kobiety cuciał.

Nagle Mietek uchylił drzwi do „naszego pokoju” i zawołał:

– Listę już wyczytują!

– Powiemy w razie czego, że Januszek śpi. Dziecko bym miała jeszcze tu wlec?

A tu grają, tańczą, śpiewają nawet. Masa ludzi, dwa i pół tysiąca podobno. Tuż zza drzwi doszedł nas śpiew Feli – Sur le pont d’Avignon... – Fela rozbawiona weszła.

– Felutka? No, córuchna, tak ci bardzo wesoło? Hala śpi, nie widzisz? I dzieci małe, chcesz je obudzić? – mamusia smutnie mówiła. – Jak oni chcą nas wieść? Tyle ludzi... Czym oni nas na ten dworzec zawiozą? Skąd wezmą tyle wozów, koni? – kontynuowała głośno rozmyślania.

Racja. Mamusia nasza przecież nigdy nie szła tak daleko... Jezus, Maria! Jak to będzie? Mamusia przecież nie zajdzie! Trwożyły się nasze myśli.

– Ho! Idą nasze konie! – zawołał ktoś, widząc wchodzących pięciu chłopaków – Kornel, no i naszych czterech: Stefan, Mietek, Stachu i Andrzej.

– Słuchajcie no, ale gdzie się nasz Mietek podziewa? – zapytała jedna z siostr wujka.

Twarze chłopców mówiły, że żaden z nich go nie widział, ale natychmiast wyrazili chęć szukania go. Pomyślałam, że i ja pójdę go szukać. „Mietku”, tak się go nazywało, uczęszczał ze mną do jednej klasy w gimnazjum. Jutro rano na pewno ma być ta wywózka – ktoś użył tego paskudnego słowa. – Będą nas przewozić wojskowymi ciężarówkami na dworzec.

To były wieści, które biegały między ludźmi, natomiast nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd to jechać mamy. Choć ktoś tam palnął, że jakieś drugie państwo dla Polaków chcą utworzyć, ale to już wydawało się zupełnym absurdem. Wielce intrygujące było, dlaczego w takiej tajemnicy trzymają to, co zamierzają z nami zrobić. Nagle, tak w tych moich poszukiwaniach za Mietkiem, zauważyłam pewien boczny korytarz i linkę przewieszoną przez schody prowadzące w górę z kartą z napisem: „Proszę tam nie wchodzić”. Niepostrzeżona przez nikogo czmychnęłam w górę.

Cóż za radość i uciecha, bo tam było ich muzeum klasztorne – obrazy, książki grube, prastare, olbrzymie mszały, lichtarze srebrne, wszystko w gablotach pięknie poukładane. Niedługo jednak mogłam oglądać, bo zmierzchnął, więc stałam sobie przy oknie i z tej wysokości miasto moje rodzinne

oglądałam ciche i spokojne, tam daleko, zimową szatą się okrywające, potem mgiełką, szarością i ciemnią. I światełek już nawet dojrzeć nie było można, tylko nasze, klasztorne okna były oświetlone. Lecz cóż to? Boże, myślałam, na co ludzie sobie pozwalają?! Cóż za odwaga! W przeciwnym bowiem skrzydle budynku, na wprost mnie, na tle oświetlonego okna, ktoś wywiesił wielkiego orła. Boże, cóż za nieroztropność! – myślałam. – Co będzie, gdy Niemcy zobaczą? Wyraźny nasz biały orzeł wisiał, tylko czemu bez korony, myślałam, przypatrując się. Może po prostu takiego piastowskiego właśnie tu mieli... Patrzyłam, gdzie i którą stroną najszybciej tam by dojść, żeby tych ludzi ostrzec przed taką ogromną nierozważą. Powoli mijał drugi dzień pobytu w klasztorze.

„Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty...” – modlono się od wczesnego rana. W tym dniu, 8 grudnia, nadeszła chwila, kiedy kazano nam opuszczać pokoje, korytarze i ustawić się na wielkim dziedzińcu. Wpół do jedenastej wybiło na korytarzowym zegarze, gdyśmy tak jak w procesji, jakby w drodze krzyżowej odprawianej w poście w kościołach, wyruszyli z jękiem, płaczem, z modlitwą na ustach, przybliżając się tłumnie do wyjściowej furty klasztoru.

Głosy kobiet, mężczyzn, młodzieży i dzieci, rozmodlone, zaniepokojone, wypowiadały te słowa litanii do Najświętszej Marii Panny. Następna grupa znów inne modlitwy mówiła, bo był to akurat ten „dzień Marii!” – 8 grudnia, w którym, jak mówiono od dawna, opowiadano przecież nagminnie, miało coś się wydarzyć, coś wielkiego. Wieś wierzyła święcie w ów cud, że jakiś wielki nastąpi przewrót. Naturalnie ludzie, którym 21 października zamordowano ojca, syna, brata czy męża, o nie, ci – myślę – już nie wierzyli w cud. Zdjęli jednak i pochowali te wszystkie śnieżnobiałe kryzy i różowe czy zielone ałasowe fartuszki, a chłopcy nie mieli już czerwonych kamizeli, pozostali w swych czarnych odzieniach. Tym bardziej więc wyglądaliśmy teraz, na tym klasztornym podwórzu, jak kondukt pogrzebowy.

– Ludzie, nie załamujcie się, jeszcze nic nie wiadomo! Mają nas przecież wywieźć, a nie zabić – wołał ktoś. Bo na widok zielonych mundurów i tych czarnych ze znakami trupich główek, z tyłoma karabinami, krzyk się uniósł i rosło coraz to większe zdenerwowanie. Strumienie porannego słońca oblewały szeroki dziedziniec klasztorny.

Utworzyliśmy sobą rondo, staliśmy, czekając co dalej. Obserwowaliśmy się nawzajem wkoło i sprawdzaliśmy, czy wszyscy są. Krewni, bliscy, znajomi i wczoraj poznani. Z naszych nie było Kornela! Patrzyło się w stronę furty, że wybiegnie jeszcze, ale nie, nie było go. Podniósł się krzyk i hałas ogromny, bo okazało się, że kilka osób nie wyszło z wnętrza klasztoru. Niemcy krzyczeli i jakby zdziwieni byli, o co nam chodzi, że nagle powstało aż tak wielkie zamieszanie. Aż wybiegł z klasztoru zadyszany olbrzymi ksiądz Kokociński („Wikary! Wikary!”) i powiadomił nas, że osoby te są na

pewno, tylko że zasłabły i już zaraz wyjdą, tylko przyjdą do siebie. A gdzie się podział wujek Szymek? Pomruk jednak nie ustawał. Zaczęto niedowierzać księdzu, kwestionować jego słowa. W obieg poszły jakieś straszliwe plotki. Na szczęście Kornel, roześmiany jak to on, ukazał się w drzwiach, a gdy doszedł do swoich, dostał w kark od Janusza, aż się zgiął i zaczął płakać.

– Wody poszedłem się napić na tamto podwórze i nie mogłem potem trafić – tłumaczył się.

Też i inni „nieobecni” zaczęli się ukazywać podpierani przez księdza prefekta Szczerbińskiego „Giwerę” (takie miał przezwisko w gimnazjum, a uczył niemieckiego) i przez samego ojca superiora. Widok ten z miejsca uśmierzył cały nagły gwar wśród nas.

– Nad czym oni tam tak debatują? – mówiono o Niemcach stojących w grupie i naradzających się mocno. – Co oni kombinują, nad czym tak radzą? Czemu nie idziemy? Mieliśmy przecież iść na dworzec. Czemu więc stoimy? Co oni chcą zrobić z nami tu?

Ludzie ze wsi trzymali się w swojej grupie, a ludzie z miasta w swojej. Przykro było patrzeć na tę grupę Biskupian, tak dorodnych, przystojnych mężczyzn, tych ludzi tak zaradnych, pracowitych, stojących teraz tak spokojnie. Naprzeciw nas stali, zupełnie prawie bez bagaży, dobrze na szczęście, że po zimowemu, ciepło ubrani. Bardzo byli smutni. Mamusia stała o własnych siłach.

Nagle ku zdumieniu wszystkich Janusz wyszedł ze swojego szeregu i stanął tak, jakby chciał do nas wszystkich przemawiać. Milczenie nastąpiło, a on odezwał się w te słowa:

– Mili! – Ale jakby nie mógł dalej mówić... Zresztą nie wiadomo było u niego, czy wysili się teraz na jakiś kawał, czy też w ogóle co zrobi. – Słuchajcie, wiaruchna! Zanim zaczną tutaj nami komenderować, chciałem wam, drodzy, o czymś przypomnieć!

– O czym, Janusz? Wracaj, nie wygłupiaj się! – wołali jego koledzy ze swoich szeregów.

A Stachu nasz, co do drugiej klasy miał iść teraz we wrześniu, cichszy i spokojniejszy zawsze od wszystkich, stał wystraszony w tej swojej cyklisłówce na uszy...

– Janusz! Co on robi? – darli się jego koledzy – Tarczę zakryj, bo ci widać.

Janusz poprawił więc swą żalobną czarną opaskę, którą wszyscy mieli na rękawach i przykrył nią swą gimnazjalną tarczę. W klasztorze bowiem wczoraj wydano bardzo ostry rozkaz, by poodpruwać tarcze i pozdejnować znaczki z czapek gimnazjalnych, ale mało kto usłuchał, raczej je pozakrywaliśmy. Opasek czarnych było dość, pozdejnowało się więc starszym i nałoży-



ło na nasze uczniowskie płaszcze. Niemcy zaczęli się gapić, że Janusz coś do nas mówi.

– Jako że trudno z gołymi łapami rzucać się na lamparta, przeto proszę tu was usilnie o podporządkowanie się i rozsądek w tym wszystkim, co tu będzie. Mają nas naprawdę wywieźć, a nic innego, więc nie protestujemy, bo figa z tego, tylko idźmy spokojnie, żeby nie kosztowało nas to jeszcze jakiej ofiary w ludziach, jak to się, niestety, zdarzyło dwa tygodnie temu w Poznaniu podczas takich wysiedleń. Możecie o tym słyszeć?

Jeden z policjantów odszedł od swojej bandy i zbliżał się w stronę Janusza. Bolech mówił tuż za mną:

– Czy on ogłupiał, czy co? Co on wyprawia? – wujek wołał go stanowczym tonem.

Grobowe zapanowało wśród nas milczenie, a Janusz mówił dalej właściwie w ciszy:

– Więc mówię, wiaruchna..., żeby to nas więcej nie kosztowało niż trzeba! Słyszycie?! No.

Na korytarzu w klasztorze wybił zegar, to znaczy, że jest już wpół do dwunastej. Dlaczego nas tu tak trzymają? Janusz mówił:

– Doniósł nam tu ktoś, że na godzinę drugą pociąg jest uszykowany na dworcu, więc przestańcie gadać o czym innym. Wywiozą nas i basta, nic poza tym.

Żandarm zawrócił. Zielonawa, zaśniedziała kopuła klasztorna jakby spochmurniała. Żegnani, błogosławieni przez księży stojących nieopodal, ruszyliśmy. Przed chwilą wybiła dwunasta. Gdzie jest ten zegar? Aha, w korytarzu. Co oni mówią, ci księża?

– Bracia! Bracia, raz jeszcze proszę o zachowanie spokoju – ksiądz superior przemówił. – Bo jak widzicie i jak tuśmy słyszeli przed chwilą, certować się oni z nami nie mają zamiaru! Zapowiedzieli to!

– Obawiam się, że oni nie mówią tego na wiatr. Bądźmy więc rozumni – drugi ksiądz dopowiadał.

Męski jakiś głos też mówił podobnie, gdy nasza rodzina zbliżała się już do bramy wyjściowej. Ach, to nad tym się tak długo zastanawiali, czy puścić nas tyłem, górkami za cmentarzem, czy dołem.

– Hmm, bokami nas prowadzą przeto. Żeby jak najmniej ludzi widziało, mądrale, a jak nas potasowali.

– I nie wszystkich razem, tylko, zobaczcie, grupami znów. Boją się nas nawet teraz – szły rozmowy między nami.

– Zwolnijmy, niech ci drudzy nas dogonią, razem będzie lepiej. Ci przed nami też zwalniają, widzicie? – słyszało się głosy.

Czy myśmy się ich bali? Skądże. Nikt z nas chyba nie miał tego uczucia. Nie pozwalali nam jednak rozmawiać głośno. Dalej szliśmy na dworzec, a na brzegach ulic wszędzie stali mieszkańcy naszego miasta. Zaczęło śnie-

żyć. Teraz nas poprowadzili ulicą Nad Kanią, potem koło cukrowni, żeby jak najmniej ludzi nas widziało. Wszędzie poodginali ludzi, ale się im to nie do końca udało. Nie mogli przecież kordonu od klasztoru do dworca ustawić. Pułk by cały na to potrzebowali.

Matka nasza, jakby dopiero to wszystko odkryła, że nas gdzieś prowadzą, chcą gdzieś wywieźć, zaczęła nagle tracić panowanie nad sobą, rozglądać się, złorzeczyć, blednąć. Niemcy wciąż pokrzykiwali, poganiając nas. Potem przystawaliśmy, by grupa tylna doszła do nas i przez to byliśmy już blisko wujka Szymona z rodziną i jakoś trochę różniej przez to nam było. Ale też coraz ciężiej na sercu, pojękiwaliśmy i płakaliśmy, coraz to nam było gorzej. Straż nie wiedziała, co robić, bo szliśmy właściwie grzecznie zwartym już teraz konduktem, ale płaczący, więc głupio im było. Byliśmy złowrogą dla nich masą, ale może też niektórzy strażnicy trochę nam współczuli, a inni bali się nas. Jeden wciąż posyłał mi coś w rodzaju uśmiechu, bo patrzyłam na niego, czy go to wreszcie „weźmie” czy nie, ta cała nasza „sprawa”, czy pojmuje, co z nami wyprawiają, czy w ogóle go to obchodzi. Były chwile, że mówił do mnie spokojnym, ludzkim głosem, by nikt inny nie słyszał. Nie wiem jednak, co mi gadał.

Ale mamusia usłyszała widocznie i powiedziała, że on mówi, bym ładnie szła, grzeczna, nie złorzeczyła, bo to nie jest jego wina, to co tu jest. A czyja? Szliśmy wolno, a oni się darli, że mamy iść szybciej, bo o drugiej jest odjazd. Po chwili zaczęliśmy wędrować do tyłu i do przodu, gdy się tylko dało, by mieszać się i szukać tych, z którymi chcieliśmy zamienić zdanie, no i potem być razem blisko. Wartownicy nie mogli sobie już z tym poradzić. I wszyscy staliśmy się bardziej agresywni, zaczepni, odważni! I my, i Niemcy też.

Jeśli pilnujący upominali jednych, to za ich plecami drudzy wysiedleńcy dochodzili szybko do tych, na których im zależało, by być blisko nich. Tak wujek Szymon na przykład był już teraz, wraz z całą swoją rodziną, może ze 200 osób za nami, więc nie tak daleko. A już byliśmy w połowie drogi do dworca. Przechodziliśmy obok starego cmentarza, tego przy cukrowni. Potem zaraz przy Baški Polaszkówny placu budowlanym, tam od tyłu. Wciąż dużo mieszkańców miasta stało po bokach drogi, którą szliśmy. Wyszli, by nas serdecznie pożegnać, czule do nas wołając, chcąc pocieszyć nas, jak umieli. Chcieli też nam coś podać, gdyby się udało. Wszyscy mieli łzy i strach w oczach lub krzywo zagryzali usta ze smutku. Myśmy uśmiechali się do nich, odkrzykiwaliśmy coś i udawaliśmy, że się tak bardzo nie martwimy. A gdy się znajomą twarz napotkało lub koleżanki buźkę, to wzrok szybko kierowało się gdzie indziej. Bo zbyt ciężko na sercu się robiło.

Chłabra robiła się pod butami, bo i nie było tak bardzo zimno. Stefan niósł dzielnie dalej tę moją miskę, a my wszyscy z tymi teczkami szkolnymi szliśmy, plus jakieś palto na ręce. Inni ludzie mieli worki, kufry, toboły, paki,

walizy, zawiniątka. Szyny kolejowe błyskały już przez ośnieżone zarośla. Teraz najgorszy odcinek, bo tyle znajomych, i jak tu nie okazać naszych uczuć? Z cukrowni wyszli robotnicy patrzeć na nas. Gazownia już. Konik biały, śliczny, z wozem stoi tam. Józef?! Baśki Polaszkówny brat wyrывa się, mocuje ze swoim starszym bratem i coś woła w oknie swojego domu na piętrze. Co to ma być? Może on patrzeć nie może na nas, na Halę naszą, jego ukochaną, w której on się tak bardzo od lat kocha.

– Józef, nie zrób sobie nic złego, my wrócimy na pewno, wiedz o tym! My wrócimy, a ty nie narażaj się tu na nic – błagam, krzyczę, gdy on coś wykrzykuje. – Józef, to dobrze, że ty tu zostajesz, czekaj na nas! – bez słów wołam.

Idziemy teraz wzdłuż Plant naszych. Od tej strony miasta stoją tłumy mieszkańców. Krzyczą i pocieszają nas. Pewien męski głos woła spośród nas do ludzi:

– Ludzie! Nie załamujcie się, nie zginiemy z głodu! W takiej grupie ludzi? Ręce do pracy mamy! Nie rozpaczać, co to ma być? Zachować się godnie!

– Ostatecznie mamy podstawy do najgorszych przypuszczeń – odmrukuje mu ktoś.

– Jezu! Jezu! Jezu! – to rozdzierający głos naszej cioci Józki, tej z Daleszyna. Tak, tak, to ona szaleje. Biedaczka traci zupełnie głowę. Z tą swoją trójką dzieci, bez męża ukochanego, bo wujek Józef razem z tatusiem naszym, bratem swym, został zastrzelony, tam wtedy 21 października na Rynku.

Płaczą zwłaszcza wdowy, prowadzone teraz z dziećmi, bez mężów, nie wiadomo dokąd i na co. Ta niewiadoma jest potwornością, bo żeby coś powiedzieli, co dalej. Ale nic. Nikt z nas nic nie wie, a niestety dowodów ich zbrodni wiele. O tych w Krakowie profesorach w klasztorze już mówiono, zaaresztowanych podstępnie.

– Pani Heleno! Heła! Trzymaj się, my ci pomożemy! Nie damy wam zginąć! – krzyczą stojący z boków ci, których zostawiamy w naszym mieście.

To ciocia Stasia z biura z Zosią Malinowską, naszą miłą kuzynką, tak wołają. A tu, Ula z Baśką Polaszkówną stoją zaryczane z rozpacz, obejmują się i śmieją niby do mnie:

– Nie daj się, Kajda! Pamiętaj, nie daj się, Kaziulka! – drą się, więc ja do nich też:

– Wy się trzymajcie..., do zobaczenia!

A tam daleko? Na środku ulicy stoi nasza ciotka Weronika, z kurą pod pachą. Pokazują jej tam rękoma, że to niemożliwe, by wziąć tę kurę. Ludzie z miasta płaczą. Na jezdni daleko stoi wuj Aleksander, starszy brat naszego ojca, tata Uli, współnik naszego młyna.

Któryś z tych pilnujących nas drze się głośno. Ale już odwrotu nie ma. Już jesteśmy przed szlabanem kolejowym. Ostatni postój. Starzy Wytykowsy stoją tam, jacy biedni, kochani. Mój Boże, ledwie żywi ze zmartwienia. A mamusia nasza, jak się musi niepokoić straszliwie, bo co z nami teraz będzie? Niektórzy się modlą głośno. A w ogóle teraz już szliśmy jak najwolniej, stając co parę kroków, żegnając się z miastem i ludźmi. Godnie szliśmy, tak jak sobie życzyli księża i starsi panowie. Pewnie, że były płacze, ale kobiety, to nie mężczyźni. Ale nie szliśmy przygarbieni ani zrezygnowani. O nie, czoła nieśliśmy wysoko. Mało było załamań. Zwłaszcza tu na końcu trudno było przy tych ludziach na nas patrzących, badających spojrzeniem, jak się czujemy, jaka jest nasza postawa.

Z odrazą patrzyliśmy na „naszych” uzbrojonych strażników. Idąc tak w tej chlapie, w blaskach południowego słońca, w ciągłym się nawoływaniu i baczaniu, by nie oberwać szturchańca od policjanta, udawaliśmy tylko przed tymi ludźmi, stojącymi na ulicach, że nie jesteśmy aż tak mocno tym wszystkim zmartwieni. Zresztą, oni może wiedzieli, że nasze nieraz dziarskie miny to jest chwilowe udawanie. Oni dobrze wiedzieli, co my czujemy. Myślałam o tym, by znaleźć się w wagonie, by jak najszybciej się tam schować. By już skończyła się ta droga, to patrzenie i uśmiechanie się przez łzy. Nastąpił straszny zamęt – wrzaski, piski, krzyki, szukanie się, latanina, lamenty, wzajemne nawoływania. Marsz się zakończył.

Pociąg stoi, więc krewni i znajomi chcą być blisko siebie, ale nie było to takie proste. Zatem wielka szukanina wzajemna. Bo i już chlastanie drzwiami wagonów było, to znaczy zamykanie ich przez tych policjantów. Dość się już miało wszystkiego i nastąpiła w wagonie niesamowita cisza. Dobrze, że nie było już tych krzyczących zielonych kanalii, że wsiąkli gdzieś ci ze strzelbami, hełmami na łbach i świecącymi naszywkami. Wszyscy byliśmy niezwykle wyczerpani, ale byliśmy razem. Nastąpił odjazd pociągu. To żaden sen. Zewsząd słychać nabożne słowa: „Maryjo, Matko Nasza, módl się za nami. Maryjo, Matko Boża, w opiece swej nas miej. Panie, zmiłuj się nad nami, Chryste, zmiłuj się nad nami... Królowo Pokoju... Ave, Ave, Ave Maryja. Ave Mario, pocieszycielko strapionych, módl się za nami”.

Pociąg ruszył. Jest już i szlaban przez naszą ulicę. Są Planty. Za chwilę jest cukrownia, chluba naszego miasta. Na przejeździe przez ulicę Klasztorną stoi tłum mieszkańców naszego grodu, który nas żegna. Potem, na wzgórzu, klasztor nasz cały zaśnieżony, a za chwilę będą Piaski, gdzie mieszka nasza ciocia Marynia z rodziną, ukochana siostra ojca naszego. W Piaskach dworzec obłożony ludźmi, jednak nikogo ze swoich nie widać. Odjeżdżamy. Zmierzchu, szybciej zapadaj! Tyle w tobie ukryć można.